

ANIOŁ STRÓŻ.

Czasopismo dla dzieci i młodzieży polskiej.

Wychodzi co tydzień.

Na grobie mamy.

O matenku, coś od dzieci
Odbiegła w świat drugi,
Czy tam widzisz, jak się świeci
Światełek rząd długi?

Widzisz świeczki na swym grobie
I wieniec z stokrotek?
To podarek mamie, tobie,
Od twoich sierrotek.

Widzisz mamie w oczach łezki
Co drżą pod powieką?
Ciebie Anioł wziął niebieski,
Nam w smutku dni cieką.

Choć nam niby nic nie braknie,
Odzieży ni chleba,
Jednak serce czegoś łaknie,
Czegoś jeszcze trzeba!

O matenku, twej pieszczoty
I ciepłego słowa,
Co to serce wśród tęsknoty
W pamięci wciąż chowa.

Choć popieści nas kto z ludzi,
Przygarnie, przytuli,
Zawsze w sercu żal się budzi:
To nie dłoń matuli!

Lecz się nie smuć, mamie droga,
Czas łzy nam osuszy,
Będziem prosić Pana Boga
O spokój twej duszy!



Dzieje Narodu Polskiego

OKRES V.

(Ciąg dalszy.)

Stefan Czarniecki.

Co zaczął X. Kordecki tego dokonał dzielny
Czarniecki. Ci dwaj mężowie, rzecz można ura-
towali wówczas Polskę z grożącego upadku.
Stefan Czarniecki po Bolesławie Wielkim jest
największym polskim wojownikiem. Mawiał on o
sobie, że nie z soli, ani z roli, ale z tego, co boli,
dorobił się sławy i znaczenia.

Już od najpierwszej młodości walczył w
obronie Ojczyzny. Był w niewoli tatarskiej.
Czarniecki na chwilę nie zwątpił o wypędzeniu
Szwedów. Nie miał on wiele wojska, ale umiał
małymi siłami wciąż nękać i niepokoić nieprzyja-
ciela. On był jeden z pierwszych, którzy zawią-
zali konfederacją czyli związek w Tyszowcach r.
1655 w celu wypędzenia Szwedów. Gromił ich
Czarniecki w licznych bitwach, a mianowicie pobił
ich nad rzeką Sanem, pod Kozłenicami, Warką,
Chojnicami, Trzemesznem, Lipcem, Magierowem,
Działdowem i w wielu innych miejscach. Udał

...ogę my i ydsz yzhoim się
 się nawet Czarniecki na czele kilku tysięcy Polaków aż do Danii, gdzie wpław przez morze przeszedłszy, wylądował na wyspie Alsen i tam potężnie Szwedów wygrzmocili. Cadów męstwa dokazywał dzielny Czarniecki. Po kilku też lecach Szwedzi z Polski wypędzeni.

Później wojował z Kozakami i Młoskalami, których pobili pod Lachowicami, Polonką, Gabarami, Głębokiem i Stawiszczami. Choć tyle męźnych dzieł dokonał, choć Polskę ocalił, jednakże dopiero pod koniec życia hetmanem został mianowany. Po wiele razy był ranny, gdyż nie żałował siebie, ale szedł śmiało, gdzie był bój najzaciętszy. Schorowany, w skutek ran i niewygód umarł r. 1664 w Sokolowie w chłopskiej chacie. Krótko przed zgonem doręczył mu pośtaniec królewski hetmańską buławę. Czarniecki, przyjmawszy Sakramenta ś. jako prawy katolik, kazał sobie jeszcze przed śmiercią przyprowadzić ulubionego konia, na którym tyle zwycięstw nadoznał. Poglaskał wiernego towarzysza bojów, prosząc, aby miano o nim troskliwie staranie. Ale koń wierny po zgonie pana, nie tknął owsa i z żalu żyć przestał. Tak nawet zwierzę nierozumny przywlażał się do wielkiego bohatera.

Dopóki Polska Polską, a Wisła w niej płynąć będzie i doróki Karpaty sterczeć będą na straży naszej ojczystej ziemi, dopóty i pamięć o Czarnieckim się przechowa. Jego duch wielki niech zagrzewa do wzniosłych czynów późne polenia polskie.

Młodzieży polska, naśladowaj żelazną wytrwałość Czarnieckiego i jego męstwo i wielką miłość Ojczyzny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Złoty trzewiczek.

(Powiastka).

Był raz biedny grajek sierota, grywał on pięknie a smutno na skrzypeczkach, chodził od wsi do wsi, od chaty do chaty, a liściowi ludzie dawali mu chętnie za to parę groszy lub pożywienie. Ale jakoś długi czas nikt nie widział grajka ze skrzypkami. Dziwowali się ludzie i pytali, co się z nim stało. On zaś w ubogiej chatce siedział przy chorej matuli, płakał i modlił się, a skrzypki zawiesił na ścianie.

Gdy matka umarła, przesiedział długo nad jej grobem, aż wreszcie zmuszony nędzą wybrać

się w świat ze skrzypkami za zarobkiem. Idzie, idzie biedny, a łzy mu płyną po licu.

— Jakże ja grać będę, kiedy mi tak smutno? — myśli sobie — kiedy już tak dawno nie grałem; chyba, że najpierw wstąpię gdzie do kościoła i Bogu zaśpiewam na skrzypeczkach pieśń pobożną.

I szedł sam dalej, aż tuż pod Krakowem na Zwierzyńcu obaczył kościół i wstąpił do niego. W kościele cicho i pusto, nie było nikogo. Ujrzał grajek Chrystusa Pan na krzyżu, okrytego niebieskim płaszczem, w złotych trzewiczkach na nóżkach, zbliżył się do niego, a wzniosłszy oczy w górę, począł grać. Ciche, smutne tony skrzypek płynęły coraz dalej. Grajek wspominał sobie dawne lata, nauki matki, sieroctwo swoje i łzami się zalał. Aż tu nagle z obrazu spadł złoty trzewiczek do nóg grajka.

Zdziwił się chłopak, ogląda go i widział, że złoto prawdziwe; sam nie wiedział co zrobić, aż wreszcie schował go do kieszonki i szedł z nim do miasta. Sprzedam go — myślał sobie — kupię sobie za niego krzyż na grób matki, sobie nowe skrzypki i książkę, z której się uczyć będę.

Tak marząc, przychodzi do sklepu i pyta kupca, ile mu da za trzewiczek?

Ale kupiec, złotnik, poznał natychmiast ten trzewiczek, posadził, że go grajek skradł z obrazu i kazał biedaka uwięzić i oddał pod sąd. Nadaremnie nieszczęśliwy chłopiec zapewnia, że mu Pan Jezus sam trzewiczek żrucił z obrazu, nie wierzone mu jednak, oddano go do więzienia i na śmierć skazano.

Gdy już dzień spełnienia wyroku nadszedł, rzekł grajek pokornie:

— Pozwólcie mi jeszcze raz zagrać przed obrazem Pana Jezusa.

Zozwolili mu na to i wszyscy sędziowie wraz z tłumem ludzi poszli do kościoła na Zwierzyńcu.

Błady, drżący grajek naprzód modlił się gorąco, a potem wyjął skrzypeczki i grać począł. Któż opowie, jaka to była muzyka? Jedna stroina zdaje się ciągle brzęczała jak skarga sieroty i dzwoniła: — Ja nie winien, ja nie winien. Drugo zaś powtarza a rzewnie: — Bóg mu dał, Bóg mu dał. A wszystkie znów dzwoniły — Puście sierotę!

Ludziom łzy toczyły się po liczu, gdy słyszeli to granie, sędziowie drżeli i bledli, aż tu nagle o cudo wielkie!.. Pan Jezus z obrazu nóżkę wysunął i rzucił grajkowi drugi złoty trzewiczek.

Na ten widok wszyscy oniemieli; strach przejął sędziów i oskarżyciela, puszczone grajka

na wolność. Kupił on sobie nowe skrzypki, kupił książkę i na grobie matki śliczny krzyż postawił, i zdarzenie to ludzie zapisali w dawne księgi i opowiadają dziś o nim w okolicy Krakowa.

mowę, powiedział, że szkoda takiego pięknego młodzieńca do takiej brudnej profesyi — Ja, dzięki Bogu, mam co jeść i matkę czem wyżywić w starości, więcej mi nie trzeba i szczęśliwy jestem z mego rzemiosła.

— Bo nie masz nic lepszego, ale ja cię zrobię bogaczem i panem, że w złoto będziesz



Asem i królowa duchów.

W mieście Balsorze był sobie dawnemi laty człowiek młody i przystojny, farbiarz z rzemiosła, a nazywał się Asem. Znał się dobrze na swojej sztuce, był pracowity, rzetelny i słowny, więc roboty mu nie brakło, a zarobku też nie. Miał się dobrze i dobrze było matce jego, którą z pracy swojej utrzymywał. Lubiono go powszechnie, a farbiernia powiększała mu się z każdym dniem.

Razu jednego przyszedł do niego jakiś obcy, bogato ubrany pan, a wdawszy się z nim w roz-

opływał i sypiał na królewskiej pościeli.

Tak mówił obcy pan,

— A toć by i nieźle było lepiej się usadzić, zwłaszcza gdyby Bóg człowiekowi dopomógł iż bym matce mógł dać lepszą wygodę, bo staruszka też już z każdym dniem kruchsza. Jenó to mi w głowie, żeby to nie była jaka nieczysta sprawa. bo choć biedny jestem, za nic w świecie sumienia swojego nie chciałbym obciążyć a czyste imię droższe mi, niż wszystkie bogactwa całego świata.

Tak powiedział Asem, na co znowu odrzekł ów pan :

— Bardzo to pięknie, mój kochany synu i taki młodzieniec szczególnie mi się podoba, który matkę kocha i dba o nią, a sumienie i honor swój nadewszystko ceni. Ja też takiego od dawna już szukam, a że mi Allah (to znaczy po arabsku Bóg) nie dał dzieci, więc biorę ciebie za syna i będziesz miał u mnie, co tylko sam sobie zapomyślisz. Matkę zaś twoją obsypię wszystkimi dostatkami świata, bo powiadam ci, mój synu, że u mnie złoto i pieniądz nie znaczą, jako że umiem z każdego podłego kruszczu zrobić złoto i ciebie także tej sztuki nauczę, abyś był bogaty i szczęśliwy aż do samej śmierci.

Kiedy obcy pan odszedł i nazajutrz do Asema przyjść przyobiecał, poszedł Asem do matki, żeby jej o wszystkim opowiedzieć. Nie miał bowiem spokoju. To się bał zaufać obcemu człowiekowi, to znowu nęciło go bogactwo i widział kupy złota przed sobą, za które budował pałacy i wszelakim zbytkiem się otaczał. To znowu sam siebie ganił za to, że do marnego złota serce swoje przywiązuje, a wtedy marzył sobie, ile to dobrego będzie mógł robić ludziom, zwłaszcza biednym, gdy mu nigdy złota nie zabraknie. Przyszedszy do matki, opowiedział jej każde słowo, co obcy pan mu powiedział i cieszył się, że matka na starość we wszystko będzie opływała.

Staruszka słuchała uważnie, a potem powiedziała te słowa:

— Moje dziecko, nie łaszcz się ty na jakieś obiecanki cacanki, nie pragnij bogactw, bo kto wie, do czego ci ten człowiek doprowadził. Masz co jeść razem ze mną, biedy nie znamy, zdrowie nam służy, ludzie szanują i Allah błogosławi, więc czego żądać więcej? Bądź więc ostrożny, żebyś nie wpadł w jakie sidła, bo trudno ufać ludziom, którzy nie wiedzieć za co tyle obiecują i dać przyrzekają.

Asemowi bardzo się ta rozsądna mowa podobała, więc obiecał być ostrożnym i z tem się spać położył. Ale nadaremnie czekał na sen: szumiało mu w głowie od przeróżnych myśli i biło serce gwałtownie, a przed oczami stawały kupy złota i bagactwa wszelakie. To chciał być wielkim kupcem, to znowu wielkim panem i mieć wsie, grunta, lasy, polować z towarzyszami i jeździć po świecie. To znowu wolał niby mieszkać w stolicy, mieć przepyszne pałace, bywać u sułtana i może ze sułtańską córką się ożenić, a kto wie, może i sułtanem zostać po swoim teściu.

Tak to mara marę goniła, a ta gonitwa odpędzała sen, z powiek, aż nadeszło rano i słońce w oczy zajrzało.

Rano skoro tylko zadniało, zerwał się Asem z łóżka, umył się po kilka razy, jak religia Ara-

bom nakazuje, zmówił modlitwę i poszedł do farbiarni.

Wnet też przyszedł do niego obcy pan, a gdy się przywitali, wyjął z pod płaszcza wielki tygieleszek, na ogniu go postawił i zapytał, czy Asem nie ma gdzie jakiego starego żelastwa albo jakiej starej blachy innej, to on mu pokaże, jak się robi złoto.

Asem znalazł gdzieś starych gwoździ garść sporą. Te włożył obcy pan w tygielek, ogień silniej rozdmuchał, a z obwiązania swojej głowy, które w tamtych krajach noszą zamiast czapki, a co się zowie turban, wyjął coś zawiniętego. Gdy to rozwinął ostrożnie, Asem zobaczył czarny jakiś proszek, z którego obcy pan wsypał szczyptę do tygielka. Wnet się stare gwoździe roztopiły i świeciło się w tygielku, jak jasne słońce na niebie, bo zrobiła się w nim spora sztuka prawdziwego złota, ile tylko w tygielek zmieścić się mogło.

— A co, wierzysz teraz? — zapytał obcy. — Wierzę, panie i chętnie się tego od Was chcę nauczyć.

— Dobrze! Więc przygotuj dziś na wieczór dobrą kolacyą; ja przyjdę i nauczę cię tej sztuki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Do obrazka.

Słyszaliście dziatki kochane niezawodnie od swych rodziców o górze Wezuwiuszu, położonej w pięknym kraju pod nazwą Włochy. Wezuwiusz wygląda tak samo, jak inne góry, ale pod nią znajduje się żywy ogień, który, gdy go się tam nagromadzi dużo, wychodzi przez rozmaite otwory, tak zwane kratery, na ziemię i pali wsie i miasta. Na obrazku widzicie dziatki, jak z takiego krateru wydobywa się gęsty dym, a dym ten był tak gęsty, że ludzie nic nie widzieli, a tak okropny, że nikt nie mógł oczu otworzyć. Równocześnie rozlegał się pod ziemią grzmot i łoskot, po którym wyrzucał Wezuwiusz rozpalone kamienie i inne twory, które ludzi zabijały i domy zamieniały w gruzy. Działo się to kilka miesięcy temu. Niejeden ojciec stracił wszystko, i nie ma czem żywić swych dzieci. Zmuszony jest szukać pomocy u ludzi miłosiernych, ażeby z głodu nie pomrzeć. Jak to dobrze, że u nas nie ma takiej góry, ogniem ziejącej.